

1.417.501

zdj.

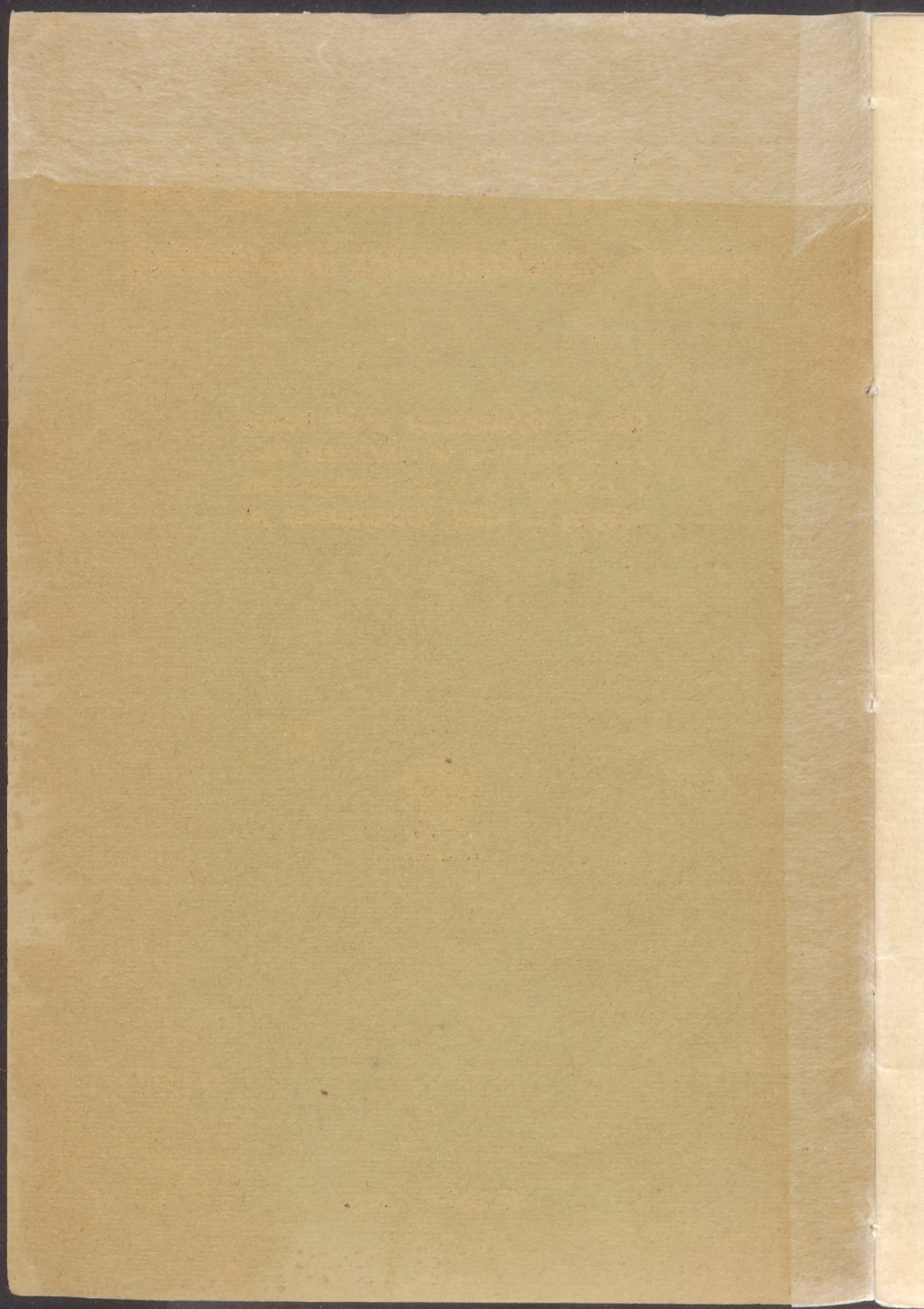
O Elizy Orzeszkowej

pracy i działalności literackiej.

Odczyt wygłoszony przez Helenę
hr. Zborowską w Tarnowie dnia
8 czerwca 1907 na uroczystości,
odbytej na cześć Orzeszkowej. ✻

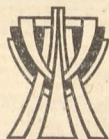


Kraków 1907.



O Elizy Orzeszkowej pracy i działalności literackiej.

Odczyt wygłoszony przez Helenę
hr. Zborowską w Tarnowie dnia
8 czerwca 1907 na uroczystości,
odbytej na cześć Orzeszkowej. ✻



Kraków 1907.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



3000101238777



II 1.417.501



KRAKÓW — NAKŁADEM AUTORKI. CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ
POD ZARZĄDEM A. SZYJEWSKIEGO.

2000 k 268/19



Szterdzieści lat pracy na polu piśmiennictwa, długa i pracowita droga, dążąca wprost przed siebie, dążąca do jasno określonego celu, a z tej drogi ni zbroceń żadnych, ni nawrotów, ni wahania, ni zniechęcenia w długiej wędrówce.

Wśród literatury ostatniej doby, nerwowej, pesymistycznej, z której wieje duch buntu i gorzki duch przeczenia i wołają głośno prawa jednostki, — postać Elizy Orzeszkowej stoi, jak posąg z jednolitego kruszcu odlany, jak zjawisko z innej epoki.

Wśród chóru głosów: „sztuka dla sztuki, dla rozkoszy jednostek, umysłem i wykształceniem wysoko wyniesionych ponad szary tłum ludzkości“, z jej dzieł słyhać wołanie: „Sztuka, służba społeczeństwa, służba ojczyzny!“

Idea włożyła jej pióro do ręki, idea pisać kazała, ta, co we wszystkich jej dziełach żyje i wszystkie przenika, jedna i niezmienna od początku jej pisarskiego zawodu; a w blaskach tej myśli przewodniej, co nad pisarką świeciła, jak słońce, forma artystyczna rozwijała się powoli, jak pod słonecznymi promieniami kwiat z ziemi wykwita, — aż doszła do tego stopnia doskonałości i piękna, jakie podziwiamy w największych jej dziełach, w „Nad Niemnem“, w „Bene Nati“, w „Dwóch Biegunach“ i „Chamie“, w „Argonautach“ i „Pieśni przerwanej“.

Trzy okresy literatury, jak trzy potężne fale, przeszły nad jej głową. Słyszała jeszcze ostatnie romantyzmu echa, talent jej rozwijał się i potężniał w epoce idealizmu i pozytywnych haseł, — u progu starości stała i w pełni dobrze zasłużonej sławy, kiedy nad piśmiennictwem naszym wichur modernizmu, czy symbolizmu powiał i nowe znów odkrył światy duszy.

Wszystkie te, a tak różnorodne dźwięki słyszała Orzeszkowa i odczuła z kolei i odbiły się, jak w zwierciadle, w zewnętrznej szacie jej dzieł coraz to piękniejszej, coraz bardziej artystycznej i subtelnej.

Duch pozostał niezmieniony.

To, co natchnieniem jej było, nie należy do żadnej epoki, ni do żadnej szkoły, to było wieczne i będzie wieczne.

Miłość ojczyzny i ziemi, ukochanie wszystkich ludzi, jak braci, a zwłaszcza najbiedniejszych, najbardziej upośledzonych, którym los był nie matką, lecz macochą, — wolność dla wszystkich i dla wszystkich światło!

Nie nienawiść hasłem jej, lecz miłość! Budować chce, nie burzyć i wywracać!"

Nie wprowadza ona do powieści swoich kwestyi religijnych, ni rozpraw o wierze, ale duch chrześcijański, ten prawdziwy, jakim go chciał mieć Chrystus, jak go rozumieli pierwsi chrześcijanie, przenika jej utwory od końca do końca, bo wszystkie na najszczytniejszym altruizmie oparte i na wielkiej litości dla całej nędzy świata.

Eliza Orzeszkowa kryje się poza dzieła swoje, osoba jej poza niemi znika; nigdzie nie dała nam obrazu osobistych przeżyć i uczuć swoich, nie rozbiera, nie rozkłada przed nami na kawałki duszy własnej, jak to z lubością tylu innych pisarzy czyni; to, co nam odsłania z serca swego i z duszy, to tylko szerokie, jak świat, górne idee, co w duszy tej żyją.

Ciekawe studyum i problem ciekawy, kiedy mówiąc o życiu i działalności tej największej z pisarek naszych, nasunie się mimowoli porównanie z tą, co we Francji na czas niedługi przedtem żyła i tworzyła i zasłużyła sobie na imię najznakomitszej kobiety w piśmiennictwie francuskim, z głośną George Sand.

Nie porównanie, raczej przeciwstawienie. Na wstępie do życia, los obu wielkich pisarek jednakowy.

Obie potężnym talentem obdarzone, przerastające o głowę całe codzienne otoczenie swoje, obie nieszczęśliwe w niedobranem małżeństwie, u boku tuzinkowych, pospolitych „zjadaczy chleba“, porzuciły ciasne domowe życie, w którym ich piersiom brakło tchu szerokiego i poszły w świat, pracować swobodnie nad rozwojem tej iskry, którą czuły w duszy. Ale każda z nich odmienną drogą poszła.

Francuska pisarka rzuciła się w wir gorączkowego życia, w wir przygód miłosnych, żyła zmysłami i wyobraźnią, wrażeń szukała i chwyciła je chciwie, namiętnie, przeżywała na jawie romanse swoje, przeszła przez literaturę, jak płomień, jak zbuntowany duch, głosząc wolność kobiety, głosząc wszechmocne prawo miłości ponad wszelkie boskie i ludzkie prawa.

Polska kobieta pozostała samotna; życie spłynęło jej na cichej Litwie, zdala od gwaru świata, zdala od wielkich ognisk, zdala od tryumfów i hołdów, których nie pragnęła, nie szukała i tylko z dzieł jej poznał ją świat.

W powieściach jej, poważnych, surowych trochę, nastrojonych zawsze na podniosły ton, erotyzm odgrywa drugorzędną tylko rolę, dodatkiem bywa tylko, nie treścią utworów. Ponad uczucie miłości mężczyzny i kobiety, Orzeszkowa stawia inne, wyższe ukochania; zasłuchana w szum litewskich puszczy, w pieśń odwieczną ziemi ojczystej i w nędz ludzkich odwieczny płacz, oddała im całą duszę.

I ona o wolność kobiety woła, ale nie o taką, którą głosiła George Sand. Chce, by kobieta człowiekiem była, nie dzieckiem, które na pasku wodzą, towarzyszką mężczyzny, nie zabawką jego lub ładnym salonowym cackiem. W pierwszych powieściach swoich „Pamiętniku Waławy“, „Maryi“, „Marcie“, „Rodzinie Brochwiczów“, wszędzie podnosi kwestyę palącą, że wychowanie kobiety innem stać się musi, niż dotychczas było, że musi nauczyć ją pracy, samodzielności i siły.

Realistką jest ona szczerą, nie odrywa się od ziemi, od życia rzeczywistego, które maluje czasem z plastycznością i drobiażkowością holenderskich malarzy, ale nie zapomniła, jak wielu innych realistów czy naturalistów, że prawdziwym i rzeczywistym jest nie tylko to, co niskie, co marne i brudne.

Kiedy maluje wieś, o tem pamięta, że jeśli od wsi zalatuje nawóz, to i siana pachną i lipy rozkwitłe i kwiaty na łące; że nie tylko kłótnie i krzyki pijackie po karczmach słyhać, ale płyną w powietrzu i pieśni żniwiarzy, kiedy po zachodzie słońca wracają do chat i nocami od pastwiska głos fujarki dolata.

Jej chłopci i zagonowa szlachta, to nie baletowi „kmiotkowie“ z literatury romantycznej, tak sztuczni i nic wspólnego nie mający z życiem rzeczywistym, ale też i nie owe „ludzkie zwierzęta“ z powieści Zoli. Umiała Orzeszkowa, jak mało kto, wnikać w psy-

chologię człowieka prostego, nie wpadając ani w mdłe idealizowanie, ani w jaskrawy naturalizm i tak z głęboką intuicją, z miłością wielką, pełną wyrozumiałości na ich winy i litości dla ich nędz, stworzyła całą galerię niezapomnianych, różnorodnych typów-ludzi, co na podobieństwo roślin mocno związanych z ziemią — karmicielką, Bohatyrowiczów, Osipowiczów, Dziurdziów. Znakomite są obrazy każdego takiego miniaturowego społeczeństwa w szczupłym zakresie wsi lub zaścianka, gdzie tyle się znajdzie charakterystycznych a ciekawych rysów, tyle i dumy i patrzenia z góry i znów zazdrości i goryczy, — zupełnie, jak na szerokim świecie.

A w pojedynczych postaciach ileż nieraz tragizmu i poezyi!

Tak stworzyła w „Nizinach“ tragiczną wprost postać matki chłopki, ubogiej i ciemnej, poświęcającej całe swe biedne, przez długie lata mozolnie uciulane mienie dla ocalenia od wojska ukochanego, słabowitego syna... i nadaremno...; stworzyła precudną, wprost biblijną postać „Chama“, Pawła, nadniemeńskiego rybaka, co pokochał i wziął za żonę zepsutą wietrznicę, służącą z miasta i zawsze przebacza i nigdy żalującej nie odepchnie, bo gubić jej duszy nie chce; ostatni obraz powieści pokazuje go nam, kiedy po samobójczej śmierci żony w lat kilka, nad starą książką do nabożeństwa siedzi wieczorem i sylabizując z trudem, uczy czytać dziecko Franki, które mu kiedyś przyniosła do domu z dwuletniej wędrownki; a wśród nocnej ciszy, kiedy chłopak już usnął głęboko i Niemen szumi za ścianą chaty i wicher jesienny płacze, wtenczas „Cham“ zmarłą wspomina i w piersi się bije i modli z głębi duszy: „Boże, bądź miłościw jej grzesznej! Boże, bądź miłościw jej grzesznej i nieszczęśliwej!“ Nie wiem, czy jest w całej literaturze naszej powieść jaka i postać jaka bardziej i głębiej chrześcijańska.

W trzech ludowych powieściach Orzeszkowej, „Chamie“, „Nizinach“ i „Dziurdziach“, znikają bez śladu rażące nieraz w pierwszych jej powieściach napszystość stylu i skłonność do przesady, zbyteczna, jaskrawa w malowaniu charakterów dodatnich, czy ujemnych. Tu wszystko proste, tragiczne i piękne, jak starożytna rzeźba, w którejby nic ująć nie można ani dodać, bez zepsucia ogólnej harmonii. „Dziurdziowie“, to istna „potęga ciemnoty“; straszne morderstwo w zimową noc, wśród śnieżnej zawiei, śmierć pod kijami, okropna śmierć młodej kowalowej Pietrusi, o której uwiaryła cała wieś, że jest czarownicą i nieszczęście na ludzi sprowadza.

W „Bene Nati“ widzimy „okolicę“ szlachecką na tle zimy i śniegów, za borami, za lasami śpiącymi pod szronem, odcięty od świata zaścianek hardych Osipowiczów, którzy w chatach niskich mieszkają i ręce mają czarne od pracy na roli, a klejnot swój szlachecki tak wysoko noszą, że za hańbę poczytaliby sobie wydać siostrę za leśniczego, chłopskiego syna. Akcja toczy się tu szybko, dramatycznie, z rzadką w powieściach Orzeszkowej zwięzłością i ruchem. Widzimy walkę młodej, energicznej, gorąco zakochanej dziewczyny, z rodziną, jej ucieczkę z domu w przeddzień ślubu z tym, którego jej chcieli przemocą narzucić, przybycie do Jerzego, dla którego poświęciła wszystko, a którego tymczasem, przekonany, że go odtrąciła, ożenił się z inną. Powieść w dramat się zmienia, kiedy Salusia wśród ciżby, ciskającej się do okien leśnictwa, stoi i patrzy przez szyby, jak tam przy weselnym obiedzie siedzą i za zdrowie państwa młodych piją. Potem skok w staw, jak w czarną przepaść, na której dnie zapomnienie... Ratuje Salusią krewniak Gabryk, niemłody, niezgrabny, pośmiewisko zaścianka, bo o zarobek nie dbał i tylko na skrzypcach grać lubił — a Salusią kochający skrycie, pokornie, którenby „za trzy dni, spędzone z tą kobietą, z ustami na ustach, z duszą przy duszy“, oddał resztę biednego życia swego. Jadą w noc ciemną oboje, a dzwonek sań cicho przed nimi dźwięczy, jadą w milczeniu w smutną, beznadziejną dolę swoją... On ją ochroni, zasłoni przed gniewem rodziny, przyjacielem będzie i opiekunem nieszczęśliwej... a dla siebie niczego nie żąda.

„Anastazyja“, to także zaścianek, ale na tle zielonego lata, kiedy ku ziemi gną się zboża dojrzałe i zielony cały świat; to zaścianek w złotą jesień, kiedy na dożynkach wiejskie skrzypki grają od ucha i pod lipami idzie taniec ochoczy. Takim pogodnym obrazem rozpoczyna się powieść. Ale w miarę, jak się rozwija, niknie blask słońca, wesołość gaśnie, nadchodzą ciężkie chmury. Bohaterka, to dziewczyna prosta, słodka, o gołębiej duszy i niewyczerpanych w sercu skarbach dobroci, która po utracie miłości, po stracie osobistego szczęścia, poświęca się cała na służbę bliźnim, na pociechę smutnym. Śliczną jest postać siwego dziadusia Cyryaka, starego powstańca i sybiraka i śliczną jego śmierć, — znakomitą kreacją „Apolek“, narzeczony Anastazyi, typ człowieka półcywilizowanego, w którym owa cywilizacja, zasadzająca się na przywdzianiu czarnego tużurka i złotego łańcuszka u zegarka,

rozbudziła tylko chciwość i żądę użycia, zaostrzyła apetyty, nauczyła pogardy dla dawnego otoczenia i dawnych wierzeń, a umysł pozostawiła ciemnym, jak pierwiej i duszę śpiącą. Półcywilizowanym, tylko o wiele bardziej jeszcze zepsutym i znikczemniałym jest ów pokątny adwokat z „Nizin“, Kaprowski, wyzyskujący bezczelnie biedny, ciemny lud białoruski; półcywilizowane są też w tej samej powieści Bahrewiczówny, panny „z piękną edukacją“, która im nie pozwala matce w gospodarstwie pomagać, a zasadza się na zasypywaniu mieszkania wszelkiego rodzaju „robótkami“, na śpiewaniu paru pieśni przy rozstrojonym fortepianie i rozplaszczaniu sobie nosa o szyby, wyglądając, czyli jaki konkurent nie jedzie. Skreślone są te postacie z życiem i satyryczną werwą, a wolne od wszelkiej przesady i niskiego, taniego komizmu.

„Nad Niemnem“, na szeroką skalę zakreślona 3-tomowa powieść, stoi już prawie na wyżynach epopei. I prawdziwa to epopea życia ziemiańskiego na Litwie, na tle tej przyrody swojej, rodzimej, a tak pięknej, którą tak kocha wielka autorka, jak Mickiewicz kochał „puszcz litewskich przepastne krainy“. Widzimy tam dwór obywatelski i zaścianek, obok siebie, ale obce sobie, prawie wrogie. Kiedy przed laty były gromy, kiedy krwawa łapa Murawiewa dławiała kraj, wówczas Korczyńscy i Bohatyrowicze ramię przy ramieniu w pole szli, za wolność walczyć i za ojczyznę. Ale po klęsce padła martwa cisza i wyziębiły się dusze i zacięsnily się serca. Benedykt Korczyński, co kiedyś był takim, jak dziś syn jego, młody student Witold, szlachetny marzyciel i entuzjasta, wyciągający z zapalem ręce do zaściankowej braci, — w ciężkim kieracie kłopotów i trosk, w ciężkiej doli właściciela rozległego, a mocno nadrujnowanego majątku, ostygł i zardzewiał; pochłonęła go całego praca powszednia, walka o utrzymanie dziedzictwa. A przy nim żona, pani Emilia, rozgrymaszona histeryczka, zajęta tylko swojemi wygodami i swoim zdrowiem, — która nigdy mężowi pomocą być, ni wyrozumieć go w niczem nie chciała, kobieta-lalka, taka, co póki młoda cackiem bywa i rozpieszczonem dzieckiem, a na starość ciężką kulą u nogi się staje. I dalej szereg cały postaci, z których każda żyje, z których każda staje się nam człowiekiem rzeczywistym i dobrze znanym. Jest Andrzejowa Korczyńska, postać szlachetna i smutna, jak posąg matrony we wiecznej wdowiej żalobie, a tej wdowie po bohaterze, którego życie dał za ojczyznę, syn jednak ukochany, rzuca w oczy szyderstwo,

że ojciec był szaleńcem i zginął dla mrzonki; jest ten syn Zygmunta, próżniak i samolub, który nic i nikogo w świecie, prócz własnej osoby nie kocha, dyletant, wmawiający w siebie i drugich, że jest artystą i wyższym duchem, a w rzeczywistości pasożyt i zero; jest Justyna, uboga kuzynka Korczyńskich, młoda, piękna, pełna życia i zdrowia dziewczyna, skazana na bezczynność w domu bogatych krewnych; Zygmunt rozkochał ją i porzucił; Justyna rozgoryczona po serdecznym zawodzie, w tym życiu bezcelowym i dla jej dumy upokarzającym dusi się po prostu i wyjścia z niego szuka; chce pracy, chce być komuś użyteczną i dla kogoś żyć. Koło niej, jak odstraszący przykład, smutna, wiecznie samotna doła starej kuzynki-rezydentki, Marty.

A przy dworze niedaleko Bohatyrowiczów zaścianek, a w tym zaścianku bratanek starego Anzelma, co z Korczyńskimi niegdyś na Moskala chodził, — młody, piękny Janek Bohatyrowicz, który w niedzielne popołudnia łódką po Niemnie pływa, by choć z daleka dojrzeć tę pannę ze dworu, co mu serce zabrała, kiedy ją na sumie w kościele widywał. Prostemi, a dziwnie czystymi i pięknymi liniami narysowana jest ta postać młodzieńca, na duszy i na ciele zdrowa, silna i spokojna. Symboliczną jest ta chwila, kiedy Justyna przy żniwie napotyka Janka i z ręki jego bierze sierp, „w którym słońce srebrne błyskawice krzesze“, i z młodym Bohatyrowiczem razem pochyla się do pracy na zagonie. Od tej chwili przełom nastąpił w duszy dziewczyny. Odrzuca oświadczenia bogatego hrabiego Różyca, przeżytego, zdenerwowanego morfinisty, który chciał bujną jej młodością rozgrzać resztę zmarnowanego życia swego, — za głosem serca pójdzie.

Marzy dziewczyna, że w zaścianek pójdzie, niby z lampą jasną, światło niosąc, a w zamian odda pracę młodych, silnych rąk swoich; życie przed nią i miłość Janka, praca przed nią, ale ona się tej pracy nie zleknie, jak nie zlekła się oporu rodziny i sztycherstwa świata.

Marzy młody Witold Korczyński, że dokona tego, co zaniedbali ojcowie; że jedność nastanie i braterstwo, jak niegdyś wobec wroga jedność była, jak pod moskiewskimi kulami braterstwo było, kiedy Andrzej Korczyński padł obok Jerzego Bohatyrowicza.

Suche streszczenie, to ledwo martwy szkielet wielkiego utworu tego; a on żyje i płynie, jak życie płynie, jak Niemen płynie, którego szum przenika całą powieść od końca do końca,

zmieszany z poważnym gwarem litewskich lasów. To nie zręcznie ułożona fabuła, to kawał życia, przepuszczony przez pryzmat wielkiej duszy pisarki, która nawet na to pospolite szare życie umie rzucić promień ideału, podnieść tę szarzyznę ze sobą w górę, ku gwiazdom.

„Dwa bieguny“, to najwznioślejsze ukochanie ludzi, ziemi i ojczyzny, to oddanie siebie na ofiarę szczytnym celom, — i wesoły, wygodny egoizm, co z życia wyciągnąć chce tylko jak największą sumę wygód i przyjemności, — to Seweryna Zdrojowska i Zdzisław Gronowski. Tak się wydaje, że tę postać kobiecą, przez siebie stworzoną, poczętą we własnej duszy, szczególnie ukochała autorka, że włożyła w nią wszystkie ideały, wszystkie szczytne marzenia swoje. Najwznioślejsza to bez zaprzeczenia kobieta w całej naszej literaturze powieściowej kobieta — człowiek, mężna, mądra, szlachetna, wzór Polki, wzór obywatelki. Postać to „nie już na miarę krawca, ale Fidyasa“. A przytem jaka realna i żyjąca! Nic w niej niema z szablonowej, papierowej doskonałości. „Dzika“ wydawać się mogła na tle warszawskich salonów, na tle rozbawionego światka kuzynki Idalki, — prześliczną, pełną poetycznego, poważnego, nieco smutnego wdzięku staje się dopiero w codziennym swoim otoczeniu. Stary krasowicki dwór, schowany w lasach, otoczony wkoło milczącą bielą zimy, staruszków dziaduniów dwoje, jak gołąbki siwych, jak Filemon i Baucis, nierozłącznych, — ślepy, wpół zdzieciniały p. Adam Zdrojowski, którego oczy zagasły i pamięć zagasła, a duszy jeszcze śni się na jawie o bojach młodości, o Napoleonie, — niania Bohusia, stara służba, rezydentki i wychowanki, ubodzy sąsiedzi, dziwaki z pod ciemnej gwiazdy, — oto dla postaci Seweryny tło najwłaściwsze i najpiękniejsze, tam jaśnieje ona najszlachetniejszym blaskiem. Zdzisław Gronowski, wykwintny warszawski światowiec, to człowiek zdolny i inteligentny i o dobrem w gruncie sercu, ale człowiek bez dogmatu, to natura nieco Płoszowskiemu pokrewna, tylko zdrowsza od Płoszowskiego i prostsza, ale mniej subtelna od niego, mniej głęboka, — więcej filisterska, a więc typ w rzeczywistym życiu powszedniejszy. I ci dwoje, tak różni, jakby pochodzili z dwóch odmiennych planet; Zdzisław i Seweryna, pokochali się, — ale rozeszli i nigdy już w życiu nie spotkały się ich drogi, bo jej świat nie był jego światem, jej wierzenia jego wierzeniami. Ona z wszystkiego co kochała, co było jej święte, nie mogła, nie

chciała ofiary uczynić, — on nie miał siły zerwać z dotychczasowem światowem życiem i pójść jej drogą. Pożegnali się, — na zawsze...

„Ad Astra!“ Istotnie tutaj aż pod gwiazdy prowadzi nas autorka, jesteśmy daleko od ziemi, jesteśmy w błękanie, w bezcielesnym świecie czystej myśli. Seweryna, którą spotykamy tutaj znów, traci tu już prawie zwykłe ludzkie kształty, olbrzymką się staje. Treść książki, to wymiana listów między nią i dalekim krewnym, młodym przyrodnikiem, który żyje tylko dla nauki, dla ambicyi i sławy, ojczyznę opuścił oddawna i właściwie nie ma ojczyzny. Sam sobie jej celem i szczytem, jak nadczłowiek Nietschego. Seweryna nawraca go na wiarę swoją, nauczy go kochać to, co sama kocha — ale przytem zatraci ostatni odbłysek osobistego szczęścia, pochowa ostatnie marzenie uchodzącej młodości. Lot tej powieści wysoki, podniebny, aż nuży chwilami i chciałoby się na ziemię powrócić, bo pod gwiazdami długo przebywać nie każdy zdoła, nie każdemu wystarczy skrzydeł.

„Argonauci,“ to gorączka złota, które zdobyte wreszcie, wszystko daje, prócz szczęścia. Tak „argonauta“ Darwid zdobył złote runo, zdobył milionowy majątek, o wszystkim zapomniał, prócz o niem — a na starość sam został i od wszystkich opuszczony i czarną pustkę tylko przed sobą widzi i wystrzałem z rewolweru kończy życie. Cudnym, niewymownie wdzięcznym i pełnym smętku pomysłem jest postać Klary, dziewczynki tkliwej jak mimoza, jak biały kwiat; mróz rozczarowania ją zwarzył i od życia ucieknie... Oryginalną, pełną życia i dzielności Irena, wmawiająca w siebie sceptycyzm, siłająca się na trzeźwość i twardość, Irena, która wszelkie ideały i marzenia pogardliwie malowanymi garnkami nazywa, a w duszy bezwiednie kryje ich tyle. Niema ich zato u brata jej Maryana, ni u przyjaciela jego, barona; ci, to schyłkowcy najczystszej wody, dusze w rozkładzie.

W „Australczyku“ dźwięczy jak gdyby Tołstojowska nuta; powrót do ziemi, praca na ziemi, na łonie przyrody, to zdrowie, to prawda, to pożywczy chleb; gwar wielkich miast, fałsz sztucznego, gorączkowego życia, materializm, karyery — to zwodnicze blaski, to „gonitwa za pasztetem“. Ostro smaga Orzeszkowa wszelki sybarytyzm tak materyalny, jak umysłowy, bardziej jeszcze może umysłowy niżli materyalny, bo im kto wyżej i dalej widzi, tem większa jest odpowiedzialność jego; im kto bardziej obdarzon, tem więcej powinien z siebie ludziom dać.

Z chwili obecnej, z naszych stosunków i czasów, wybiegła parę razy Orzeszkowa w zamierzchłe dzieje, w daleki świat, stworzyła „Czciela potęgi“, „Mirtalę“ i fragment dramatyczny „Wetalkę“.

Najpiękniejszą, najbardziej skończone artystyczną „Mirtalę“. Jesteśmy w Rzymie, za panowania Wespazyana, Tytus zatopił opór żydów w potokach krwi, padła Jerozolima. Z jednej strony świat rzymski u szczytu potęgi, wykwinny, olśniewający blaskiem, głośniający rozkosz i radość z życia — z drugiej podziemny świat zwyciężonych Hebreów, rozpacz, fanatyzm, nienawiść i żal straszny za ojczyznę straconą. Z jednej strony młody malarz Artemidoros, piękny, jak bóg grecki, kochający życie i wesołość i wszystko co piękne, co rozkosz daje — z drugiej, niby ponury cień obok tej słonecznej postaci, tragiczna postać Jonatana, nieszczęsnego obrońcy Jerozolimy, bohatera, co życie za ojczyznę dawał sto razy, a ojczyzna padła, a on został. Między tymi dwoma światami i tymi dwoma ludźmi, stoi Mirtala, cudna żydowska dziewczyna o płomiennych włosach i pełnej marzeń duszy — hafciarka, artystka bezwiedna, którą pociąga wszelkie piękno, wszelkie wesele i wszelka jasność, rozmarza świetny Artemidoros — a w jej narodzie wesołość przeklęta i przeklęty śmiech i każdy Rzymianin przeklęty. Jonatan kocha ją całą mocą swojej dzikiej, fanatycznej duszy i wbić jej nóż w serce woli, niżliby miała iść tamtemu, pogani nowi, wrogowi Judej, w objęcia.

Temat daleki, przebrzmiały, ginący w dziejowej pomroce; ale naród zwyciężony, naród w niewoli, szarpiący się rozpaczliwie w więzach swoich, bohaterowie i szaleńcy i tacy obok nich, co zgodzili się z faktem dokonanym i zapomnieli, że byli kiedyś wolni, to historia odwieczna, a wiecznie nowa, wiecznie krwawiąca się i świeża i nikt tak tego odczuć nie mógł i oddać z taką wstrząsającą prawdą, jak oddała Polka. „Czcielowi potęgi“, lidyjczykowi Pythasowi, ta siła materialna, ta władza, przed którą bił czołem, potęga dzikiego Kserksesa, burzy rodzinę i łamie życie. Raczej artystycznie przeprowadzona teza niż powieść, a jednak obrazy w niej cudne. Kserkses, to jak tajemnicze, piękne, a okrutne bóstwo wschodnie; luna klejnotów od niego bije, i groza idzie i jakiś straszny czar, który jak gradowa chmura, cięży nad całą powieścią. Po krótkiej wycieczce w świat starożytny, w świat bajeczny, pełen blasków i czarów, wróciła Orze-

szkowa znów do rzeczywistości, na ukochaną Litwę, do puszczy jej i pól i dworów i chat, do licznych wielostronnych zagadnień współczesnej doby, z których nie przeszło żadne bez zwrócenia na siebie uwagi tego potężnego, rozległego umysłu. Powieści jej szerokie, jak samo społeczeństwo, które może widzieć w nich całokształt swój, odbity, jak w zwierciadle. A jeśli może obraz ten nieraz od rzeczywistości piękniejszy i jaśniejszy, jeśli postać jaka zbyt zbliża się do niedoścignionego ludziom ideału, to dlatego tylko, że Orzeszkowa na ten obraz zesała blaski własnej duszy.

Nowością zupełną w literaturze naszej, której dotąd przedmiot ten był obcy, chyba jako akcesoryum, były jej powieści z życia żydów (Eli Makower, Meir Ezofowicz). Humanitaryzm Orzeszkowej nie tylko obejmuje cały własny naród, idzie dalej, rozciąga się i na ten obcy, od wieków pośród naszego żyjący, a zawsze odrębny i zamknięty, nieraz wrogi. Idealna postać Meira, to walka świetlanego ducha z ciemnością otoczenia, z fanatyzmem przesądów. Od czasu mickiewiczowskiego Jankła, rzec można, że pierwsza Orzeszkowa w biednym, upośledzonym żydzie, którego żyje i umiera w ciasnocie, w nędzy i brudzie ciemnych zaułków miejskich — dojrzała czująca i cierpiącą duszę ludzką, dojrzała człowieka.

Z tego samego źródła wypłynęły i jej pełne wdzięku i smutku nowelki „Gedali,” „Daj kwiatek!” i „Silny Samson”. Ostatnia, to perła prawdziwa; chorowity, biedny, wiecznie nad igłą zgarbiony krawiec Szymszel, któremu w teatryku żydowskim wypadło grać rolę Samsona — i któremu na tę chwilę znikła z oczu cała nędza jego życia, który przez tę jedną krótką chwilę istotnie był Samsonem — olbrzymem i gromił Filistynów i kochał Dalilę i z bólu szalał, aż padł z okrzykiem tryumfu, zemsty dokonawszy. Poezja w przedziwnie subtelny sposób styka się tu z komizmem, co śmieje się poprzez łzy.

Nowele Orzeszkowej, to często w drobnych rozmiarach swoich skończone dzieła sztuki, równe mistrzostwem wykonania i natchnienia nawet największym, najrozleglejszym jej dziełom.

Ciągną się one, jak łańcuch długi, nierozzerwany, od pierwszych chwil jej twórczości aż do ostatnich dni, odbijające z kolei wszystkie następujące po sobie prądy literatury naszej, zrazu pełne prawdy i wstrząsającego realizmu obrazki „Z różnych sfer”, powstałe w epoce haseł trzeźwości i pozytywnej pracy, potem

„Melancholicy“, subtelna, głęboka psychologia dusz smutnych, życiem zranionych, analiza sięgająca aż na samo ich dno, wydobywająca na jaw każde najtajniejsze ich drgnienie; „Ascetka“ klasztorną kratą odgrodziła się od świata i zabić chce w sobie wszelkie ziemskie uczucie i czystym być tylko duchem, a serce zapomnieć nie może i tęskni i płacze. „Bracia“ spotkali się po długich latach niewidzenia, tak odmienni, że jeden drugiego zrozumieć już nie mógł i tak jeden jak drugi uczuł, że stracił brata; „Ogniwa“, starość, samotność i śmierć, co przybliżyła się zwolna, łączą starego hrabiego i starego żyda Berka, którzy znali się dziećmi i spotkawszy się teraz nad grobem, przeszłość wspominają i młodość.

Późniejsze zbiory nowel, cudne „Astry“, „Chwile“, „Z pyłów przydrożnych“, to już czyste nastroje, co przemawiają do duszy, jak muzyka, jak śpiew, jak zapach kwiatów.

Ale poprzez te nastroje, poprzez te czarowne impresje zawsze się myśl wyższa, przewodnia, wiję, jak nitka złota.

Istotnie wrażenie pieśni jakiejś przeciągłej, smętnej, a pełnej cudownego wdzięku, zostawia nam „Pieśń przerwana“. Pod miasteczkiem cichy, milczący pałac książęcy stoi, otoczony wspaniałym ogrodem, wiecznie pustym, jakby był zaczarowany. A pod tym ogrodem domek niski, ubogi, a w tym domku dziewczyna, jak polny kwiat. Przyjechał do rodzinnego pałacu książę młody, trochę znudzony życiem i użyciem, trochę nowych wrażeń ciekawy, i zabawił się w poetyczną sielankę. Przedstawił się Klarcy, jako rządcą książęcy, dziewczyna myślała, że szczęście blisko, nie broniła się uczuciu, pozwoliła sercu kochać. W milczący ogród szli we dwoje, on czytywał jej poezję i patrzył w oczy, marzeniem duszę jej kołysał. A od pałacu płynęła co wieczora muzyka cudna, pod staremi drzewami płynęła, wtórowała ich cichym rozmowom. To książę — esteta przyjacielowi swemu grać kazał dla dopełnienia nastroju. Aż urwała się naraz pieśń, przerwała się sielanka. Klarcia dowiedziała się całej prawdy — i nigdy już jej więcej książę Oskar nie zobaczył. Uciekła przed własnym sercem, uciekła przed nim, którego pokochała, a którego wiecznie musiał jej obcym pozostać. „Pieśń“ kończy się, jak dysonansem, jak zgrzytem, wybuchem szyderczego śmiechu księcia, kiedy stęsknionemu przyjaciel radzi, żeby odszukał Klarcie i z nią się ożenił, skoro białej dziewczyny

inaczej zdobyć nie może. Czy sama tylko w tym śmiechu ironia, czy drga w nim także skryty ból?

Dwa razy odezwała się Orzeszkowa znów w ostatnich miesiącach, prawie w ostatnich dniach; „Kto je rozsądzi“, to bolesne zapytanie, rzucone wiecznej nędzy i wiecznej nienawiści; „Gloria Victis“ dalekie wspomnienie, zarazem krwawe i jasne, wspomnienie dni chwały i klęski, 63-go roku na Litwie.

Czterdzieści lat minęło, odkąd Eliza Orzeszkowa pióro wzięła do ręki, a talent jej nie zmilknął, nie osłabł ni na chwilę, a zapal co w duszy jej płonął, z latami nie przygasnął.

Tasamą ona, którą za lat młodości była, stoi na straży świętych pamiątek, na straży świętej ziemi, jak dąb potężny na litewskich puszcach kresach.

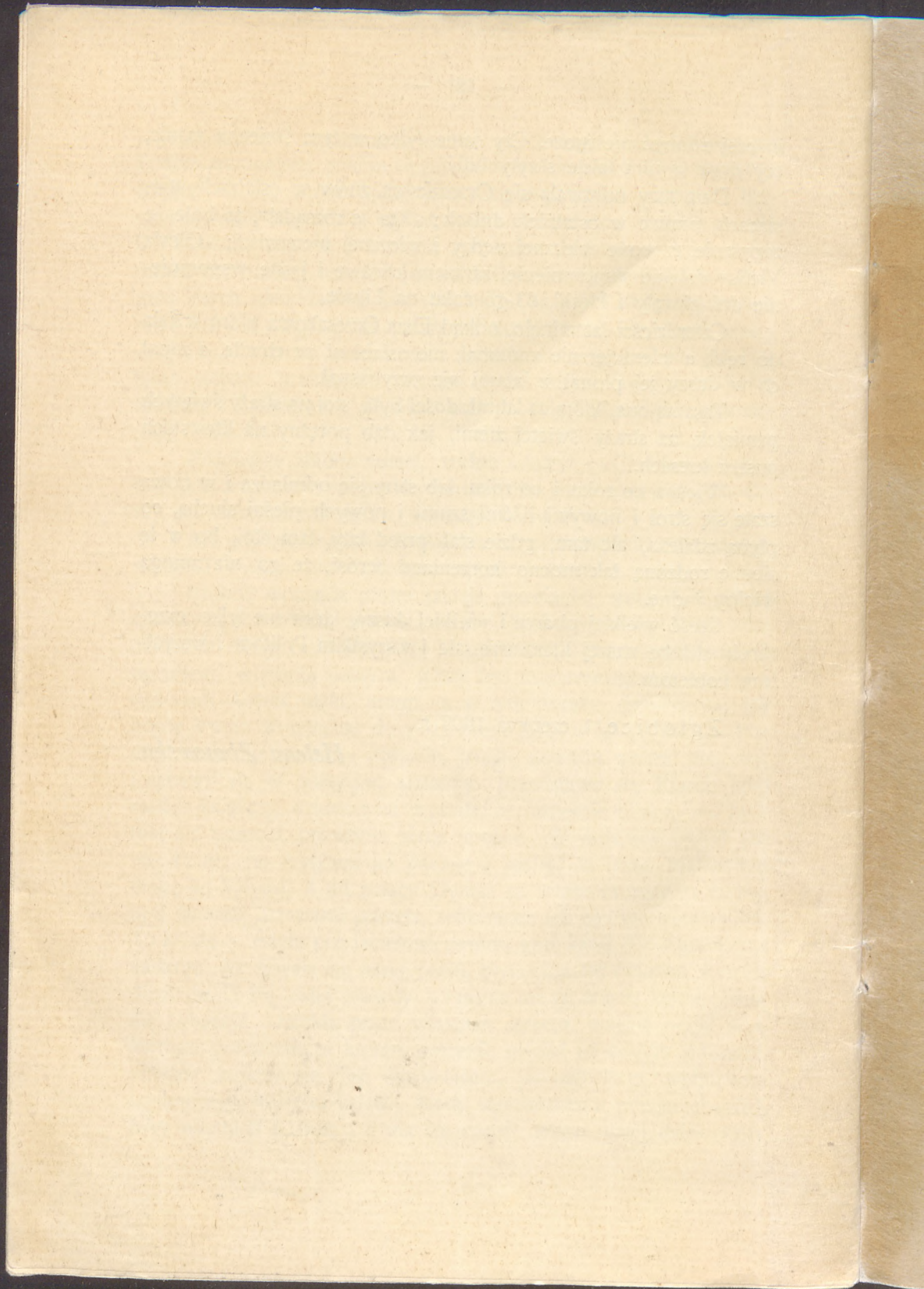
Wiosna co roku i co roku dąb stary się odmładza i w nową szatę się stroi i nowymi liśćmi szumi i nowych pieśni słucha, co płyną zdaleka, ale tam, gdzie stał przed laty, tam stoi, bo w tę ziemię rodzoną tak mocno korzeniami wrósł, że go nie zmożą wichry żadne.

Cześć wielkiej pisarce i wielkiej duszy, która nie tylko przyniosła chlubę naszej literaturze, ale i wszystkim Polkom i wszystkim kobietom.

Zgłobice, 1 czerwca 1907 r.

Helena Zborowska.





Ant. Naulus m
1.032000 field
U. 15,



Biblioteka Narodowa
Warszawa



3000101238777